Rok I. Nr. 6
1 Czerwca 1913 r.

HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski

NATURALNE PRZECIWIEŃSTWO.

Nasz poprzedni artykuł o zaniku wiary w rzekome przeciwieństwo nienawiści rządu a sympatyi narodu rosyjskiego do nas wywołał w prasie tamtejszej liczne uwagi i zaprzeczenia. Rada państwa — mówiono — to nie miniatura społeczeństwa, ale jego wklęsłe zwierciadło, które odbija rysy nie w zmniejszeniu, lecz w karykaturze. Na co i komu potrzebne są te złudzenia lub te nieszczere frazesy? Gdyby nawet Izba wyższa nie była wiernem odbiciem swego narodu, to w każdym razie niższa może być uważana za jego przedstawicielkę. A właśnie Duma rozpoczęła okrawanie samorządu miejskiego w Królestwie polskiem, przyznawszy nam daleko mniej praw, niż projekt rządowy. Dała ona niejako przykład i zachętę Radzie do dalszych okaleczeń tego potwornego płodu, który został zabity, zanim się urodził. Nie było to zresztą wcale niespodzianką. Bo zastanówmy się dobrze, jakie żywioły w Rosyi mogą nam okazywać przyjaźń? Lud, jak zapewniają nasi dobrowolni i przymusowi emigranci, wogóle poczciwy, jest jednak bardzo ciemny, sfanatyzowany i widzi w nas ciągle złych bohaterów bajki. Klasa urzędnicza pragnęłaby nas zachować, jako soczystą i słodką jagodę między swymi zaciśniętymi zębami. Kupcy i przemysłowcy, nie rozumiejąc zupełnie naszej kultury, czują do niej odrazę. Inteligencya, albo zupełnie zobojętniona na wszystko po za własną karyerą, albo zradykalizowana doktrynersko, uważa nas za ludzi, nienadających się do żadnej spółki. Rozważając ten stosunek ze stanowiska politycznego, nie dostrzegamy również nici łącznych. Dla prawicowców nieprawomyślni, niezbizantyzmowani, zbyt wyzuci z jaskiniowo-starożytno-średniowiecznego barbarzyństwa; dla lewicow-

ców znowu jesteśmy za mało prostolinijni a za wiele oplątani pajęczyną historyczną. Przez pewien czas mieliśmy sympatyę kadetów — stronnictwa posiadającego niewątpliwie w swym programie i dążeniach rysy szlachetne, ale nierozumiejącego należycie naturalnych i niezłomnych wymagań życia. Rosyanie są wogóle bardzo skłonni do mechanicznego pojmowania i rozstrzygania jego zagadnień. Zarówno biurokrata, ustanawiający jednakie normy i rozsyłający jednobrzmiące okólniki do najrozmaitszych części państwa, w którem mieszczą się wszystkie stopnie dwudziestowiekowego rozwoju kultury i wszystkie odmiany typów etnologicznych; zarówno liberał, układający z żywych ludzi łamigłówki polityczne, jak radykał usiłujący stopić ich i odlać w nowych formach niby świece — nie pojmują i nie odczuwają różnic, które zatrzeć się nie dadzą, i rozmaitości, która jest zasadniczą właściwością natury. Z przemówień kadetów, z ich propozycyi i zarzutów widać jasno, że — poza jednostkami — oni wcale nas nie rozumieją. Pewne formuły, wyznawane powszechnie jako przykazania demokratyzmu w pewnych warunkach, wydają im się pewnikami matematycznymi, bezwzględnie prawdziwymi we wszystkich wypadkach. Jest to najpospolitszy rodzaj doktryneryzmu, rozcinającego najzawilsze węzły mieczem frazesu. Zagrożeni w podstawach bytu narodowego, bronimy się od każdego niebezpieczeństwa z zewnątrz i zatrucia wewnątrz, nie czyniąc przytem zadość regule wszechbraterstwa ludzi — to nacyonalizm! Objawiamy szczególne przywiązanie do pamiątek przeszłości, do ojczystego języka i literatury — to szowinizm! Nie chcemy poddać się zalewowi żydowskiemu — to antisemityzm! Jakkolwiek jest dla nas przyjemne i pożądane przymierze z każdym żywiołem, prześwieconym wzniosłemi ideami czasu, nie oddamy własnego istnienia za pochwalne świadectwo i nagrodę ze strony żadnej, nawet najszczytniejszej doktryny.

Liberałowie i radykałowie rosyjscy pragnęliby nas złożyć do grobu z honorami rycerzy bezinteresownego poświęcenia — my wolimy naprzód zapewnić sobie życie a potem spełnić najpiękniejsze jego przeznaczenia. My słyszymy ich wysoko wzlatujące słowa, ale nie widzimy dowodu, że w naszem położeniu myśleliby przedewszystkiem, jak zginąć, ażeby na ich samobójstwie inni jak najwięcej skorzystali. Surowi cenzorowie naszego „wstecznictwa“ mogą bardzo wiele naskarżyć na swój rząd, na reakcyę, prześladowanie i ucisk, ale te utyskiwania nie zmieniają najważniejszego faktu, że oni są obywatelami wielkiego państwa i synami narodu zabezpieczonego ze wszystkich stron bytu, że nie potrzebują walczyć o jego jutro, że więc nic im nie przeszkadza deklamować o cnotach bezwzględnej demokracyi i zalecać je tym, którzy stoją bez przerwy pod piorunami zagłady.

Oto dlaczego naród rosyjski nie może ani o włos być życzliwszym dla nas od swego rządu a nawet jest nieraz bardziej od niego wrogim.

POLITYKA.

Gdyby przynajmniej lekcya dana Jagiellonidom przez Habsburgów była pouczającą i ostatnią! A przyznać trzeba, że była jedną z najohydniejszych. Przez cały czas trwania wojny bałkańskiej rząd austryacki bezpośrednio i pośrednio podtrzymywał wrzenie w Galicyi: pozwalał jej organizować i ćwiczyć drużyny bojowe, rozdawał lub tanio sprzedawał karabiny, pobłażliwem okiem patrzył na militarną szopkę naiwnych generałów i pułkowników przyszłego wojska polskiego, gdy podniecił zapalne umysły, zdurzył je aż do maligny gorączkowej, gdy w dodatku zrujnował kraj długą groźbą wojny, dał znak zapuszczenia kurtyny na to widowisko i rozegnania aktorów. To było prawdziwie po austryacku, zgodnie z tradycyą tego najczulszego opiekuna Polski. Mają być z tego powodu zwrócone interpelacye z naganą do ministra spraw zewnętrznych a co najciekawsze — między interpelantami jest jeden, który może najżwawiej uwijał się w austryjackiej komedyi.

Jak przystało w kraju, gdzie materyą rozporządzał żyd, a duchem — ksiądz, biskupi galicyjscy dwukrotnie rzucili swój zbiorowy głos na szale polityki. Oni podobno obalili namiestnika Bobrzyńskiego — który nigdy przeciw nim nie zgrzeszył ani, myślą, ani uczynkiem, oni teraz chcą wycisnąć na reformie wyborczej piętno skrajnego konserwatyzmu.

Wojna bałkańska z bohaterskiej zamieniła się na awanturniczą. Państewka sprzymierzone, pokonawszy wspólnego wroga, zaczęły teraz walczyć o podział zdobyczy. Już Bulgarya bije się z Serbią i Grecyą, a niedługo zapewne te ostatnie wezmą się za czuby. A sławne konferencye ambasadorów kują w Londynie „wolę Europy", której nikt nie słucha.

Zjazd monarchów: rosyjskiego i angielskiego w Berlinie na weselu córki cesarza Wilhelma tłomaczony jest jako zbliżenie się trzech mocarstw.

Koło polskie w Dumie jakoby dało znać, że przyjmie projekt samorządu nawet w okrojeniu Rady państwa, gdyż „lepszy rydz, niźli nic". Wątpimy.

Po drodze.

Główny przedmiot starań. Ciemni i biedni ludzie zakładają szkoły. Kler pluje w ogniska oświaty. Pod osłoną dyfamacyi. Emigracya próżniaków. Błędne koła.

Środkiem, około którego krążą prawie wszystkie nasze marzenia, zabiegi i wysiłki; kanwą, na której fantazya nasza wyszywa najpiękniejsze obrazy przyszłości; stanowiskiem, z którego wszelkie złe moce chcą nas wyważyć a nigdy, dopóki żyjemy, nie wyważą—jest oświata ludu. Gdyby historya spisywała dramaty ciche, rozgrywające się w milionach serc, a usnute z cierpień milczących — ta nasza rozpaczliwa i żadnymi ciosami niezłamana obrona szkoły narodowej byłaby w niej jedną z najwspanialszych i najboleśniejszych opowieści. Wszystko, co od pół wieku spotyka nas w tej dziedzinie, jest albo gromem, albo robaczą zdobyczą. I z niej cieszyć się musimy!

Płocka dyrekcya naukowa odmawia pozwoleń na pojedyncze szkoły ludowe, żądając, ażeby gminy uchwalały powszechne nauczanie w swym obrębie. Jest to orzech materyalnie twardy a jeszcze twardszy dla ludzi ubogich i ciemnych; mimo to łaknący wiedzy lud go gryzie i już kilka gmin zagłosowało opodatkowanie się na tę potrzebę. Według wyjaśnienia p. W. Grabskiego szkoły takie mają prawo do stałej zapomogi rządowej, ale włościanie kładą sobie na plecy ciężar nawet bez wiary w tę pomoc. Pomyślmy tylko, co to za szczególne położenie i co za szczególny naród: biedacy obarczają się dobrowolnie podatkami a nieukształceni tworzą szkoły!

Tym wszystkim wysiłkom stawia ciągle tamy kler, który zwalcza zuchwale i bezwstydnie każdą instytucyę oświatową, o ile ona nie służy jego celom. Słusznie przypomniała P r a w d a, jak on podkopywał Macierz Szkolną, pracując wytrwale pod hasłem jednego ze swych szczerych przedstawicieli, który wyrzekł: lepiej, ażeby nie było wcale szkoły, niż żeby była bez opieki księży. Ażeby przyszła historya naszych czasów nie zbłąkała się we wspomnieniach bardzo trudnych do uwierzenia, trzeba kłaść na to silny nacisk, że kler wyklina, zniesławia, podminowywa i burzy bynajmniej nie te szkoły, w których panuje bodaj najsłabsza niereligijność, lecz te, które opierają się jego samowoli. Dość przypatrzyć się przedmiotom szczególnej jego nienawiści. Wyklęte przezeń uczelnie w Gołotczyźnie, Sokołówku i t. d. to nie są szkoły ogólne, w których powinna być a nie jest wykładana religia, lecz gospodarczo-rolnicze, w których religii wykładać nie wolno i do których ksiądz nie ma prawa wstępu i żadnej dla siebie roli. Dodać trzeba, że uczniowie i uczenice wykonywają wszystkie praktyki religijne i uczęszczają do

kościołów, o ile nie są z nich usuwane. Więc zapamiętać i dla potomności zapisać należy, że kler polski: 1) stara się wszelkimi sposobami powstrzymać u nas krzewienie oświaty świeckiej; 2) spotwarza i usiłuje zniszczyć wszystkie szkoły, niepodległe jego wpływowi i władzy, chociażby one w niczem nie obrażały religii 3) odmawia posług religijnych i wypędza z kościołów wychowańców tych zakładów, którzy pragną pozostać gorliwymi katolikami. Czy można dalej posuwać szkodnictwo społeczne i dechrystyanizacyę katolicyzmu?

Jednym z najzajadlejszych w tej zacnej robocie jest proboszcz w Sońsku, który ma w swej parafii i sąsiedniej trzy szkoły rolnicze i który dzięki swej metodzie osiągnął to, że mu barany z owczarni coraz liczniej uciekają, a „zaraza oświaty" coraz bardziej się szerzy. Jeszcze parę lat takiej chwalebnej działalności a niefortunny apostoł będzie krzyczał na puszczy. Niedawno zaskarżył on przed warszawski sąd okręgowy redakcyę Z a r a n i a o.. dyfamacyę! Objaśnić winniśmy, że dyfamacya usuwająca badanie świadków i uniemożliwiająca oskarżonemu dowodzenie prawdy zarzutu, jest pozostałością dawnych czasów, usuniętą z nowego kodeksu, a wymyśloną kiedyś głównie dla bezpieczeństwa urzędników. Chociażby cała ludzkość mogła stwierdzić winę jakiegoś złoczyńcy, wsadzi on każdego oskarżyciela do kozy, jeśli mu wytoczy proces o dyfamacyę. To też pod osłonę tego paragrafu nie ucieka się nikt, szanujący swą godność i pragnący ją oczyścić z krzywdzącej plamy. Ks. Chełkowski, który jako kapłan, powinien był zmierzyć się ze swymi przeciwnikami bez żadnych prawnych przykrywek, zląkł się jawności, świadków i szczerych zeznań, dlatego sprawę wygrał. Ale smutne to zwycięstwo, odniesione taką bronią i taktyką! | Ono niczego nie dowodzi i nikogo nie oczyszcza.

W T y g o d n i k u i l u s t r o w a n y m wypowiedziano sprawiedliwe kazanie „intelektualnej emigracyi" polskiej w Paryżu. Według obliczeń p. W. Gąsiorowskiego przebywa tam: 263 malarzów i rysowników, 36 rzeźbiarzów, 83 literatów i dziennikarzów, 32 śpiewaków, 21 artystów rozmaitych — płci obojga, razem 647 jednostek z naszego kapitału umysłowego i artystycznego. Z wyjątkiem kilkunastu mogących uzasadnić swój tam pobyt korzyścią materyalną lub duchową, reszta żyje w nędzy i bezczynności. Nie zagnała ich tam żadna istotna potrzeba, tylko chęć życia w wielkiem ognisku kultury, zabawy i rozpusty. Nie jest to żadna emigracya, lecz próżniacze wałęsanie się. Dla pewnych i, niestety, dość licznych nadgniłków, ogniłków, przegniłków, knajpiarzów, wałkoniów, pobijaczów rekordu oryginalności, ptaków niebieskich, „kombinatorów", zręcznych oszustów pożyczkowych, geniuszów bez zdolności, reformatorów bez rozumu — Paryż jest rajem. Nie korzystają oni z jego wielkich instytucyj, nie oddychają jego atmosferą pracy, nauki i artyzmu, lecz pluszczą się w jego odurzającem błocie. Są to ambasadorowie naszego charłactwa, którzy głęboko wierzą, że Polska powinna rocznie płacić kilkaset tysięcy franków dla utrzymania ich nad Sekwaną. Przed paru laty miałem niezapomnianą rozmowę z pewnym młodem literatem, który „nie mógł" wytrzymać w zaduchu Warszawy i „musiał" wyjechać do Paryża. Nie miało to stworzenie ani wielkiego talentu, ani energii, ani określonych celów; powtarzało tylko mechanicznie, że jednego „nie może", a drugie „musi", chociaż mogło i nie musiało. Nasi uczeni i artyści skarżą się ustawicznie — i na pozór słusznie, że Warszawa prowadzi życie wyjałowione z pierwiastków idealnych, że nie daje pola do pracy, ogładza i dusi. Zapewne, ma ona niezależne od niej warunki złe, ale czy jej tętna mogą kiedykolwiek zabić silniej, jeżeli ci, którzy powinni je wzmocnić, uciekają za granicę? Tworzy się błędne koło, z którego niema innego wyjścia, tylko tworzyć to, czego brak—tworzyć naukę, tworzyć sztukę we własnym domu, a wtedy nie będzie potrzeba ich szukać gdzieindziej — we francuskich kawiarniach i kabaretach.

H. D.

Zdzieranie łuski z oczu.

W tajnym, dodatkowym artykule ostatecznego aktu rozbiorowego mocarstwa zaznaczają „konieczność zniesienia wszystkiego, co mogłoby przypominać istnienie Królestwa polskiego" i zobowiązują się solidarnie nie używać pod jakąkolwiek postacią w swych tytułach prawnopaństwowych tytułu „polski", któ-

ry „odtąd po wszystkie czasy zniesiony zostaje“. Zakaz ten nie był obawą przed bezbronną Polską, lecz wyrazem nieufności zsolidaryzowanych w danym wypadku, a stale podejrzewających się rozbiorców. Odezwa okazała się niepłonną. Prusy, Austrya, Rosya otaczają widmo pogrzebanej Rzeczypospolitej siecią intryg i podziemnych knowań, wysuwając stale w podstępnych rachubach przeciw sobie kwestyę polską, jako najskuteczniejszego straszaka. Nieoszacowanym, najpodatniejszym materyałem dla wszelkiego prowokatorstwa są sami polacy, łatwowierni do bezmyślności, pełni złudzeń i łudzącym obietnicom dający się łatwo uwodzić, a tak bezrozumni i naiwni, że nie spostrzegają jak nędznym atutem są w tej grze fałszu i podłości. Polityka nie zna sentymentu, nie rządzi się szlachetnością, nie kieruje prawem sprawiedliwości i słuszności, jej panem i bóstwem — interes. Ci zaś, co o nim nie pamiętają lub go nie rozumieją, idą pod Wiedeń bronić zaprzysiężonych swych wrogów, i stają się następnie bezsilną kulą bilardową, miotaną ich zręcznemi rękami.

Rosyjscy politycy nie mogli darować, że się nie udało wykonać planu Piotra Wielkiego i całej Polski zagarnąć; Prusy, połknąwszy więcej, niż strawić mogły, czuły się zagrożone w swem posiadaniu z jednej strony przez Rosyę, z drugiej przez Austryę, która znów lękała się utraty swych posiadłości galicyjskich na rzecz jednego lub drugiego sąsiada. Stąd próby wzajemnego zaszachowania się — gry prowadzonej przy szerokim udziale dobrodusznie ślepego żywiołu polskiego. W następstwie tej podstępnej roboty sam przywódca Sejmu Wielkiego, Ignacy Potocki wystąpił do Suworowa z przedłożeniem korony polskiej wnukowi Katarzyny, małoletniemu W. Ks. Konstantemu, a Suworow po wzięciu Pragi i Warszawy, zanim tę ostatnię oddał prusakom, kaptował sobie gorliwie ludność i generałów polskich. W Austryi wpadali w sieci chytrych knowań polityki rządowej szlachetni i gorący działacze polscy, płacąc za swą wiarę więzieniem dla zamydlenia przeciwnikom oczu, ponieważ gra się nie udała; Prusy zaś pod ustawiczną grozą utracenia z takim trudem wyłowionej zdobyczy, usiłowały przynęcić, na swą stronę przeciągnąć polaków tak daleko idącemi obietnicami jak obudowanie całej Polski. Opiekunem i propagatorem tej myśli stał się stary ks. Henryk, pruski, który o podziale Polski, własnem swem dziele, wypowiadał się jako o „rozboju“ i „spodziewał się, że Polska będzie odbudowana i to przez Prusy“. Ach, jak słodko musiały dźwięczeć te słowa w uszach polskich! Słuchali ich ludzie doświadczeni, rozumni, wytrawni—a jednak uwierzyli! W tej wierze utrzymywano ich gorliwie, dopóki żyła Katarzyna i nad Prusami wisiał miecz jej mściwej nienawiści.

Rozdarci fizycznie i duchowo szliśmy bezmyślnie na lep wzgardliwie i lekceważąco rzucanych nam obietnic, miotani okrutnemi, słabość naszą i nierozum wyzyskującemi siłami, sami między sobą rozdwojeni, niezgodni, w dążeniach sprzeczni, w pracy i postanowieniach wzajemnie krzyżujący się, nierzadko wręcz wrogo działający.

Wychodźstwo polityczne po upadku powstania Kościuszki i ostatnim rozbiorze rozlało się po Europie, zakładało komitety, rozsyłało do rządów noty, występowało z żądaniami, skargami i użaleniami, gdzie nie mogło z rządem, paktowało z opozycyą. Sypały się pisma, przemówienia, mające wyświetlić ważność kwestyi polskiej i podtrzymać wiarę w jej żywotność dla interesów międzynarodowych.

We Francyi te zabiegi spotykały się niezmiennie z twardem i suchem odparciem nieczułego na cudze cierpienia organizmu. Republika miała dość własnych kłopotów: zewnątrz groźbę koalicyi, wewnątrz ciągłe wrzenie i zamachy przeciw rządowi. I w takich to chwilach krytycznych powikłań polscy mężowie stanu atakowali ją w swoich sprawach. „Spodziewali się, że Rzeczpospolita francuska, idąc za głosem interesu swego i wspaniałomyślności, użyje potężnego pośrednictwa swego celem przywrócenia Polsce niepodległości“. Kompromitacyę, wynikającą z tych niewczesnych wystąpień, usiłowali zatopić w morzu wzajemnych starć, współzawodnictw, oskarżeń, przekreśleń, kłótni, w chaosie sprawę narodową zatruwających podejrzeń. W tym wirze skotłowanych ambicyj z łatwością obracać się i działać mogli tylko prowokatorzy. Nie zabrakło ich też na tem polu.

W chwili objęcia rządów przez Dyrektoryat położenie Republiki było niepomyślne tak pod względem militarnem, jak politycznym; kojarzyły się przeciw niej Austrya, Anglia, Rosya, chłodły pozyskane dawniej Prusy. Trudności, piętrzące się zewsząd, probowano jak

zwykle zwalczać intrygą, której kozłem ofiarnym musiała być Polska.

A jej przedstawiciele w Paryżu, naraziwszy się poprzedniemu rządowi, prowadzili w dalszym ciągu grę dwulicową, pełną niegodziwości i kłamstwa, nadomiar złego nieudolną i nieprzewidującą. Kłócąc się między sobą i oczerniając nikczemnie przed rządem francuskim, źle służyli sprawie ojczystej.

W 1796 r. po ślubie Radziwiłła z księżniczką pruską w Berlinie i nadspodziewanych zwycięstwach francuzów nad armią austryacką, wystąpił Wybicki z pismem publicznem i, przemawiając głosem uwięzionego Kościuszki, wzywał Francyę do złączenia się z Prusami dla przywrócenia Polski a, uderzając głównie na Austryę, żądał odebrania jej zaboru galicyjskiego, skąd „wyciągnęła 40 milionów złp. i conajmniej 100,000 rekruta“ na wojnę z Republiką francuską. Złudzenia te, które rząd francuski podsycał zdradziecko, zachęcając Wybickiego do dalszych prac w tym duchu, od samego początku nie miały żadnego gruntu w dążeniach rzeczywistych ani Prus, ani Francyi. Dla pierwszych ta cała gadanina wskrzesicielska była tylko chwilowym upustem złego humoru; dla Francyi — wygodą dyplomatyczną, fortelem do kompromitowania Prus wobec Rosyi, straszakiem na Austryę, w gruncie rzeczy niewykonalną, niepożądaną przeszkodą w urzeczywistnieniu jej własnych planów politycznych.

Śród rozstrzelonych pomysłów emigracyi paryskiej znalazł się jeden istotnego znaczenia: myśl utworzenia legionów polskich na służbie francuskiej, złożonych z dezerterów armii austryackiej i pruskiej. Rząd Republiki przyjął projekt niechętnie, wielokrotnie dając mu odprawę. Chwiejny, wykrętny Dyrektoryat, jak przedtem Komitet ocalenia publicznego, cofał się z zasady przed cieniem czynu dla sprawy polskiej. W dodatku emigracya nieudolnie przedstawiała przedsiewzięcie, nierzeczowo i wprost wadliwie. Masowa dezercya żołnierza polskiego zdawała się wręcz niemożliwą. Niewolonego w szeregach nieprzyjacielskich wyzwolić miały dopiero zwycięstwa oręża francuskiego i jako tłum jeńców oddać do dyspozycyi Republiki. Nad tym tłumem wolą, przeznaczenia dowództwo objąć miał przybywający z głębi Polski Jan Henryk Dąbrowski, urodzony w Polsce, wychowany i w rzemiośle wojennym wykształcony w Saksonii, sprawie narodowej oddany całą duszą, który, z rąk Kościuszki otrzymawszy generał porucznikostwo, wsławił się był śmiałą wyprawą do Wielkopolski i zbiciem Prusaków.

Przybywał do Paryża przez Berlin, gdzie spotkał się przy dworze z oślepiającą skłonnością do wysłuchiwania projektów odbudowania Polski, lecz skompromitowany przez tajne stowarzyszenia potryotyczne warszawskie, których dziecinną nieoględność sprytnie umiało wyzyskać ministeryum pruskie, wycofał się do Saksonii, skąd wywiodły go wieści o zwycięstwach francuzów nad Renem i zaprowadziły do obozu francuskiego. Przyjęty serdecznie, wyruszył po kilku dniach do Paryża, zaopatrzony w gorące listy polecające do ministra wojny i innych członków rządu.

Tu zastał na gruncie powikłań wewnętrznych i zewnętrznych mocno zaznaczające się skłonności pokojowe w stronę Austryi, a jednocześnie podjęcie ubocznych i pozornych rokowań takichże pod adresem angielskim w celu wywarcia nacisku na Austryę, wraz z przygotowywaniem w największej tajemnicy wyprawy zbrojnej do Irlandyi.

W tej grze podwójnej zjawia się wprost szantażem pachnący i grubą śmiesznością nacechowany pomysł wysłania do Berlina nieurzędowego agenta tajnego dla zaproponowania Prusom odbudowania Polski i ofiarowania im korony polskiej. Powiadomiony już o rokowaniach francuskich z Austryą i Anglią rząd pruski, podejrzanego agenta postanowił „przepędzić“ a przywiezione przez niego „dokumenty“ przedstawił w odpisie w Wiedniu i w Petersburgu z uwagą, iż „projekt tego gatunku mógł wylęgnąć się tylko w głowie pomieszanej i zasługuje jedynie na głęboką pogardę“.

W tym labiryncie najprzeróżniejszych interesów międzynarodowych, jaki otaczał poniewieraną, źle bronioną sprawę polską, Dąbrowski nie miał sposobu się rozeznać. Jednakowoż on dopiero dał rządowi francuskiemu mocne uzasadnienie dotychczas po tylekroć nadaremnie wnoszonej myśli legionów polskich, „formacyi kilku korpusów wolnych przy armiach Republiki nad Renem oraz we Włoszech“, mogących stać się w przyszłości „jądrem i rozsadnikiem armii polskiej“, do użycia w chwili pomyślnej w Polsce... „dla działań zaczepnych wedle planów, ułożonych między Francyą a jej sprzymierzeńcami“. Tymczasem pułki te, złożone z żołnierzy i oficerów

polskich, mogły służyć Francyi, a utworzyć dawały się natychmiast, szczególniej we Włoszech dzięki zwycięstwom francuskim, dopomagając do zdezorganizowania wojsk austryackich, złożonych w znacznej części z rekruta galicyjskiego. Ten zwrot ku Włochom podyktowało Dąbrowskiemu szczęśliwe natchnienie. Dyrektoryat wrogo był usposobiony dla powstającego tam prądu narodowo-niepodległościowego, dla tworzących się sił wojskowych: zatamowania tych formacyj i spętania dążeń dokonać miały legie polskie. Dąbrowski wyczuwał te zamiary nieczyste, ale przeciwdziałać im nie mógł.

Jp.

Zła miłość.

(Ciąg dalszy).

Najświeższą nowością powieści naszej stała się dzisiaj p a r a l e l a.

Jak niepoprawnych obyczajów żak szkolny oglądamy wciąż stawiane nam przed oczyma niedościgłe przykłady z innych narodów.

Zestawia się polaka z rossyaninem, amerykaninem, francuzem i z żadnym oczywiście nie wytrzymuje on porównania. Nie wytrzymuje przedewszystkiem dla tego, że wzór bywa p a p i e r o w y, któremu nic na żywym świecie nie odpowiada.

Amerykanin Nowaczyńskiego, gestem św Franciszka chwytający się co chwila za portfel, aby na prawo i na lewo sypać banknoty za pierwszem uchyleniem kapelusza, tak jak się pospiesza służyć ogniem z papierosa, jest oczywiście papierowym amerykaninem, o ile nie jest i w tym wypadku dobrym amerykańskim bussines-manem, wkupującym się w łaski przyszłego środowiska nowej swojej karyery.

Nowaczyński, który nie może uwierzyć w idealizm ubogiego Pollaczka, wierzy święcie w idealizm amerykanina, dlatego, że ten ma dużo pieniędzy!

Gdy Pollaczek odrzuca świetną tranzakcyę „na przekonanie“, w którą chytrze chciał go pojmać amerykanin, Nowaczyński, zauważywszy, że biedakiem chwiała przez moment pokusa, tłomaczy sobie zwycięstwo nad nią przebiegłą ostrożnością niedającego się podejść lisa... jakkolwiek tak niewpadającą w ton typowego safandulstwa i ślamazarnej inteligencyi Pollaczka! Krytyka Nowaczyńskiego zajęła wobec idealizmu etycznego w osobie Pollaczka stanowisko niewyrozumiałej wymagalności młodzieńczej!

Nowaczyński robi mu proces, za towarzyszące tytułowi idealisty słabostki ludzkie, tak jakby nazwa idealizmu przysługiwała jakimś bezbłędnym wcieleniom samej szlachetności i bohaterstwa!

Baczność!... byłby to przecież nie idealista, lecz ideał!

Gdyby amerykanin z Nowych Aten nie był papierowym, to zjadłszy w Krakowie szynkę z salicytem, czułby się jaknajlepiej „zadomowionym“. Amerykanie spożywają u siebie wszystkie gnijące odpadki, wyławiane w kanałach, które świetny chemik doprowadza do postaci zwykłych konserwów kuchni powszedniej. Otrucia zwłaszcza organizmów słabszych są zjawiskiem codziennem, występującem w przerażającej masie, ale wszechwładna dłoń, takich właśnie panów „Szelągów“ którzy na tych falsyfikatach robią swoje miliardy, nie dopuszcza do żadnej interwencyi.

Dotknąwszy mimochodem tej utalentowanej satyry pomimo kilku fałszywych punktów jej zaczepienia, analizować jej dalej nie będę— ona bowiem mnie osobiście najmniej ze wszystkich tego rodzaju paralel dotknęła w uczuciu narodowem — właśnie dlatego, że jest satyrą. Nikt życia wedle satyry nie ocenia, nie jest ona bowiem zaprzeczeniem dodatnich jego stron, ale pominięciem ich z zasady, aby przez szarżę zła otrzymać karykaturę dla wydobycia komizmu.

Poczerniałe oblicze Polski zabolało mię dopiero w utworach, w których charakterze leży powaga i poezya, których założeniem jest ścisła prawda rzeczywistości albo jej idealizacya.

Przedewszystkiem nie uznaję wogóle paraleli pomiędzy kimkolwiek bądź a nami! Wprzódy trzeba byłoby sprowadzić do jednego mianownika życia. Elementarne podstawy myślenia nie pozwalają na porównywanie rezultatów „położenia wyjątkowego“ na minus z położeniem normalnem lub wyjątkowem plusowo!...

Oto stanęli do wyścigu dwaj biegacze: jeden w lekkiej tunice greckiego efeba lub

w cienkich trykotach z elastyczną podeszwą, syt, wesół i pewien jutra... a drugi wywleczony z lochów nędzarz, któremu do każdej nogi i ręki przywiązano po dwieście pudów.

A ponieważ pomimo to wszystko jeszcze czasem zdobywa drugą lub trzecią nagrodę — cóż można o nim innego powiedzieć, jak tylko, że jest cudowny. Dajcie mu warunki współzawodnika, a pobije każdego.

Wyjęci z pod praw, pozbawieni elementarnych potrzeb bytu fizycznego i duchowego, idziemy ramię w ramię z tą potężną, wolną, szczęśliwą Europą nie w pierwszym, ale i nie w ostatnich szeregach!

Cudowni jesteśmy.

Nie będziemy porównywali dzieł naszej literatury i sztuki z utworami żadnego narodu.

Natomiast porównajmy tylko raz jeden naszego artystę, co żyje, jak ten ptak zimą w szczerem polu, nie wiedzieć jak i nie wiedzieć czem, z ustypendyowanym, upremiowanym artystą cudzoziemcem, którego społeczeństwo bogate faworyzuje, pieści się nim, pyszni się nim i na wagę złota opłaca dzieła talentu. Łatwo w takich warunkach wcielać wielkość i piękno z jasnego życia poczerpnięte, w którem ono ż y w e się znajduje!

Nasz artysta—to mnich w z a k o n i e s z t u k i, wymagającej samych poświęceń, wyrzeczeń i ofiar, posuniętych aż do poniżeń i obniżeń się, do zaprzedań siebie i do zaprzań — do brzydot i do skomlaniny...

Gdyby cząstkę tych wysiłków i kosztu, jakie traci na sztukę, wkładał w jakikolwiek zawód realny, posiadłby życie spokojne i miłe.

Ale polak to jest ten człowiek, który nie żyje chlebem...

Idealizm jest w nim to, co Bergson nazywa przyrodzonem „wygięciem duszy".

Ekstatyczne, religijne nasze dusze po zawaleniu się religii tłumnie zaczęły się cisnąć do „kultu piękna", jedynego źródła dzisiaj, gaszącego pragnienie mistyczne.

A że pozbawieni jesteśmy wszystkiego na ziemi z dziedziny wyższych jej wzruszeń i wielkich przedsiębrań, pragnienie to staje się w nas tem bardziej palącem.

Oddajemy też wszystko za zaspokojenie jednej tej najwyższej w nas potrzeby.

Stąd nasza „hyperprodukcya artyzmu", co nas zuboża zapewnie... ale podtrzymuje życie, jak stare wino i kamfora.

Śpiewem zastąpiliśmy sobie pacierz talizman dawnego polaka. I śpiewamy, jak dzieci zbłąkane nocą w nieprzebytym lesie, aby oszukać w sobie głód i strach upiorny, aby nie oszaleć i nie powpadać w przepaście.

Wzruszam ramionami, gdy mi dowodzą, że sztuka, że literatura nasza jest niższą od francuskiej, albo rossyjskiej... — i wzruszam ramionami, gdy odpierając napaść... namiętnie bronią inni jej wyższości.

C u d e m jest nasza literatura, sztuka, i nauka, całe nasze życie duchowe!... Inny naród byłby w takich warunkach stępiał zupełnie w materyalizmie życia i zczezł.

Cudem jest nadewszystko taka, jaka jeszcze jest u nas moralność.

. . . .

Generał Polenow w „Urodzie Życia" następującemi słowami kreśli nam stan moralny współczesnej Francyi:

„Francya zjadła wszystkie studenckie hasła, połknęła wszystkie socyalizmy. „Towarzysze" zasiadają na fotelach ministeryalnych... (ponieważ oni wiedzą najlepiej, jak zdusić „towarzyszy"). Sto tysięcy apaszów w samym Paryżu — kradzieże broni i sprzedaż jej nieprzyjacielowi w armii, w wyższych szkołach i we wszystkich instytucyach rutyna i formalistyka, konserwatyzm, upadek rolnictwa, skąpstwo sklepikarzy, przedpotopowe wagony — grubiaństwo służby. — Do tego pytania: „jakim najtańszym sposobem legalnie ekspedyować na mogiłki obywatela rzeczpospolitej" — sprowadziło się w rzeczywistości prawo człowieka i obywatela Francyi.

Poważne artykuły rozstrząsają, jakiego rodzaju tracenie apasza najmniej kosztuje rząd!

Nic się tu nie reformuje: kraj zatopiony w sobkostwie życia—któremu to sobkostwu anarchia dodaje mocy. Rządzą krajem (i wszystkiem, co jest!) karyerowicze, każda ich grupa, chcąc się u steru utrzymać, musi schlebiać dusigroszom.

Tu ciągle trwa zamęt w rewolucyi Menery wciąż się gilotynują tylko za pomocą innych, ale też nędzniejszych filisterskich i po adwokacku przebiegłych sposobów".

Obraz jest bardzo wierny w swej czarności. To zaś, co odpowiada Rozłucki w obronie Francyi, nie przeciwstawia się obrazowi za pomocą rozdzielnego a l e, lecz wiąże się z nim ku jego spotęgowaniu za pomocą wzmacniającego a p o m i m o:

Rozłucki mówi: „to jest najbogatszy kraj na świecie — siedlisko nauk, sztuk i wynalazków — gdzie przeprowadzony został rozdział państwa od kościoła — oświata mas — myśl niezależna". Wszystko to wyrywa nam tylko okrzyk „Jakto?!... a p o m i m o tego.. pomimo takiego bogactwa kultury genialności udogodnień życia,swobody myśli, pomimo tego wszystkiego—jest a ż t a k ź l e!!—Zaiste, jakże ogromnie spaść muszą wymagania od nas! Wobec tego my, gdybyśmy byli narodem samych kretynów i kajdaniarzy, byłoby to tylko zachowaniem proporcyi. Ale to, co spostrzegał generał Polenow we Francyi, podróżujący po Rosyi francuzi zauważyli właśnie w Rosyi!

Zjawisko, nazwane przez pisarzy francuskich z końca XIX stulecia „zboczeniem instynktu moralnego w człowieku", jest powszechne. Występuje więc i w Polsce, wystawionej na działanie tych samych sił. A przyczyny powszechne, demoralizujące człowieka wszędzie, są u nas wsparte jeszcze przez czynniki miejscowe jak nędza, ciemnota i zbiorowe nieszczęście — — to nieszczęście, co mocnych urabia na bohaterów i świętych, ale jest szkołą zepsucia dla mas o duszy słabej.

A przecież żadna dotychczas statystyka nie wykazała u nas tego stopnia zbrodniczości, jaki niedawno ujawnił się w Niemczech i żadna obserwacya nie wykryje nigdzie tego stopnia idealizmu, jaki się jeszcze zachował w polaku.

W U r o d z i e Ż y c i a, której nikt nie poważyłby się uczynić zarzutu „pięknych złudzeń", nawet ci „Korodrojowscy", trapiący zaścianek, jak mafia lub „żółta febra"... nawet te występne niedorostki jeszcze żyły ideałem Ojczyzny, gotowe za niego przecierpieć.

Skorośmy nagromadzili już na głowę naszą tyle potępień, zwróćmy teraz uwagę na jedno tylko: oto że ten „kadłub", szukający tylko spokoju i żeru", mógłby je przecież mieć natychmiast!... Wszyscy razem i każdy oddzielnie, o każdej chwili mógłby zdjąć z siebie siermięgę katorżnika i zamienić ją na dostojne oblecznie wolnego obywatela radosnej jakiejś ojczyzny, byleby tylko zechciał odstąpić od wiary ojców swoich — w którą n o t a b e n e nie wierzy — zapomnieć mowy ojczystej i zdjąć z siebie niewygodne imię polaka.

Idźmy tylko za „mundurem" Rozłuckiego jak się przewija ulicami miasteczek i bezdrożami polnemi, a widząc, jak za jego zbliżeniem głębiej na oczy nasuwają się magierki i skulone plecy zapadają gdzieś w ziemię... i słychać tylko dudnienie stóp bosych i szelest rozchylających się łopianów... musimy przyznać, że my nie kupczymy rzeczami świętemi. Mundur jest u nas rozkazodawczym i chlebodawczym... o czem wie każdy pastuszek.

To też to jest ciężka obelga nazwać ten naród bezdusznym „kadłubem" — nie należało mu nawet było przyśpiewywać „tylko, ludu, trzeba chcieć!..." — Bo czyż on nie chce?!!

Chcieć, to znaczy módz. Ale trzeba niekiedy chcieć lat pięćset, aby po pięciuset módz...

Być może żaden naród nie byłby popadł w tak głęboką jak my niedolę — ale żaden może nie niósłby jej sercem tak nieustraszonem. Nic to jeszcze hufno i zbrojno wyruszyć ławą na najkrwawszą choćby rozprawę, która jakkolwiek się rozstrzyga, kończy się wnet! — to jest dopiero trudno, tak nieustannie i po nieskończoność każdemu w osobności przeciwstawiać gniotącej Sile przemożnej tylko to nieruchome, nieme, w sobie zacięte a nieprzeparte niczem: „nie!"

Myśmy wzgardzili wszelkim kompromisem, wszelkim oportunizmem, wszelkim racyonalizmem aż do szaleństwa, co gubi.

Nabolała duma narodowa jest tak drażliwa, że gardzi sztuczkami dyplomacyi i krętością dróg, któremi wyprowadziłby inne natury spryt przezorny i w krzyżu giętki... Nie posyłamy osłów objuczonych złotem, które przekraczają mury najwyższych twierdz, a osobistego wdzięku, jakim natura hojnie obdarzyła polaka, używamy chyba tylko ku jątrzeniu wrogów.

Tak łatwo byłoby w wagonie porozmawiać grzecznie z Mundurem — tak nietrudno podać uprzejmie wachlarz na balu.

Polak nie będzie ani spiżowym Walenrodem, ani Józefem aksamitnym, szafarzem swego faraona... Polka wzgardziła rolą Judyt i Elsinoi.

Świetna taktyka, obracająca niewolnika we władcę swego władcy, jest nie dla nas!... Bo wstrząsamy się na samą ułudę odstępstwa, wstydzilibyśmy się pozoru wyparcia.

Napróżno nędzę naszą i cierpienie kuszą krążące dookoła ratunkowe łodzie... My na naszym strzaskanym okręcie toniemy, śpiewając hymn narodowy.

Muszę wyznać: wielkość nasza na tem się kończy.

Dusze nasze są powykręcane na torturach!

Zatraciliśmy dawną wspaniałość. Nic nie tracimy na porównaniu ze współczesnym cudzoziemcem, ale wyglądamy marnie przy Polsce z przed pięćdziesięciu laty!

Ostatek naszego idealizmu wysilił się w nas na ten jeden jedyny pęd, który z piwnic naszego bytu wspina się swoją wymokłą łodygą ku zakratowanemu oknu wolności.

Na nic nas więcej zresztą nie stać.

Wszystkie inne latorośle duszy zmarniały.

Ten „kult piękna" i ten „kamienny" patryotyzm to nasza cała cnota.

Dusza polska, co wysiliła się na to jedno jedyne od cierpienia hypertroficzne uczucie, ze wszystkich innych stron opatrywana, jest ubogą i niekształtną ...i jeżeli nie oglądać jej od strony tego uczucia, to nie można jej polubić, bo się jej nie rozumie i zapoznaje się ją.

Z ptasiego lotu nas potrzeba oceniać!... Stamtąd dopiero, na zatartej w syntetycznem widzeniu naszej nędzy, jak gwałtowny zygzak piorunu, rzuca się w oczy tylko ten nasz tragicznie piękny gest protestu! — bezbronnego, którym przeciwstawiamy się przemocy ziemi i ślepocie gwiazd.

. . . .

Nie mam nic do zarzucenia psychologii wypadków i ludzi w dwóch ostatnich powieściach Żeromskiego. Ale fałszywe w nich ustosunkowanie światłocieniu wywiązuje się w fałszywy ton. Typy, które nam ujmę przynoszą stawiły się w komplecie, ale gdzież się podziały te drugie?...

Na tę piękną linię patryotyzmu, przebiegającą wszystkich nas nieprzerwanym ciągiem, jakby ciało całkowite układającą się w węzeł o zatoczeniach ciekawych, tak strzelisty, że widzą go zdala nacyonaliści francuzcy, stawiając nas za przykład swoim... rewerber autorski Żeromskiego położył cień... ustawiony tak fatalnie, że oświeca stronę wyłącznie naszych ujemności.

Cień pokrył heroiczną załogę naszej strzaskanej nawy, z którego wyłania się nieśmiało zaledwie słabizna księdza Piotra albo drugorzędne postacie mdłe w rysunku „poczciwych chłopaków", co prowadząc zyskowną zresztą „budę" adwokacką praktykują przy niej mimochodem nieco altruizmu społecznego — postacie tak ogólnikowe, że nie przeżywają w pamięci momentów przeczytania.—Ale mocne światło pozwala nam w pełnym realizmie oglądać naszych „uciekinierów", którzy wkupili się na łodzie ratunkowe za sprzedane imię polaka! lub jeszcze przehandlowaną ostatnią deskę ocalenia załogi, oszukanej pocałowaniem Judasza.

Ich widzimy tak jasno i dokładnie, że znamy ich twarz i typ ich podłości i gatunek czynu i zgadujemy nazwiska...

Gdzież zaś podzieli się ci nasi kapitanowie, co — jak na „Titaniku" — po pas już w wodzie, jeszcze nie odchodzą od telefonu i jeszcze nie kładą słuchawki, jeszcze badają pilnie narzędzia, jeszcze wydają rozkazy, broniąc każdej piędzi stanowiska, każdego strzępa praw... każdej iluzyi swobód i ułudy niezależności.

Gdzie są ci, co mówią bezwzględnie prawdę swego przekonania i sumienia, nie tylko nic nie robiąc dla karyery, lecz robiąc wszystko, ażeby ją pogrążyć?

Gdzie serce dziecka w człowieku genialnym, co wyciągało z ufnością ręce nawet do rózgi, wierząc, że i w rózdze uderzy serce... tak przepełnione uczuciem, że w nieobecność jego gdziekolwiek nie było w stanie uwierzyć!

Gdzie hufce bezimienne, co odpokutowały ciężko spolszczenie wsi naszej i uświadomienie ludu.

Gdzie nasza Drużyna pieśniarska śpiewająca w obliczu śmierci.

Czy Żeromski nigdy żadnej u nas wielkości nie widział?

Można byłoby wykazać niedociągnięcie czynu... odsłonić nagłe załamywania się w katastrofę słomianego ognia. Odwagi...

I ten wieczny duet bezdusznej dojrzałości z wielkodusznością niedojrzałą.

I to nawet, jak w Duszy polskiej, powykręcanej na torturach, wykręca się przewrotnie i ten „kult piękna" w brzydactwa duchowe i ten patryotyzm w kochające nienawidzenie się wszystkich z wszystkimi.

Ale nie wolno zubożać narodu o piękność motywu i sprężyny — niepodobna odmówić nam dusznej wielkości.

. . . .

Należy się wdzięczność najnowszej beletrystyce naszej za poznajomienie społeczeń-

stwa polskiego z pięknymi typami Rosyi.

Pomimo wszystkiego, co się dzieje, nie trzeba tracić nadziei, że Duch czasu pracuje i w nich i w nas nad radosnem zaświtaniem słowiańskiego słońca.

Dowodzi wielkiej siły ducha, kto swemu zwycięzcy oddaje najściślejszą sprawiedliwość, ale granica tej kurtuazyi jest dla zwyciężonego niezmiernie czuła i ryzykowna, bo z przeciągnięciem jej poza najściślejszą sprawiedliwość może się ocknąć w przykrej dwuznaczności, ściągnąwszy na siebie podejrzenie o to, czego mianowicie szczera i „prostolinijna" dusza rosyjska nienawidzi tak śmiertelnie, że aż wynalazła dla niego ścisły, nieprzetłomaczalny termin „podobostrastja".

Kurtuazyi nie wolno posuwać aż do poniżenia siebie... tak jak w najniższym dworskim ukłonie nie wypada schylać się tak nizko, żeby aż „paść twarzą w błoto".

Ostatnie dwie powieści Żeromskiego należą do rodzaju paraleli — a rewerber autorski ustawiany jest tak dla nas fatalnie, że całe światło pada na rosyan, nas pogrążając w głębokim cieniu.

Jeżeliby pod temi powieściami podpisał się rosyanin, wybuchłaby wielka wrzawa w prasie polskiej na krzywdzący nas szowinizm. Lecz wątpię, czy który pisarz rosyjski ważyłby się na tak ryzykowną demonstracyę, że wszyscy rosyanie są szlachetni, a wszyscy polacy marni.

Marnym jest nawet perła tych wszystkich postaci z naszej strony: Rozłucki.

Żeromski widzi punctum salians wszystkich dusz naszych: patryotyzm jest zanotowany na marginesie każdej jego postaci. Ale robi to automatyzm przyrządu, który dokładnością zdjęć, co niczemu nie daruje, fotograficznie chwyta każdy szczegół, niekiedy nawet płatając samemu autorowi figla.

Widać, że Żeromski kalkował swego Rozłuckiego na jakimś z życia bohaterze idei, ale „tamten" w robocie mu się popsuł.

Typ został zwichnięty wysunięciem na czoło dramatu sprężyn miłosnych. Zniekształciła go w sobie erotyczna wyobraźnia i urodziła świetnego „homme d'amour", w którym nurtuje ciekawie świeży patryotyzm w mistrzowsko odtworzonym procesie nieuchwytnych „stawań", obudzony pod surowem dotknięciem samej ziemi i samego dźwięku mowy ojczystej, a który stwarza w nim potencyę na przyszłość przerodzenia się Gustawa w Konrada,

I które to przekształcenie znów się potem Żeromskiemu nie uda...

Ale w „żałosnej idylli" z Tatjaną nie patryotyzm jest rozkazodawczym Dajmonem.

Nie j e g o dziełem jest okrucieństwo dokonane nad nią.

Nie będzie też pokryte jego purpurą i rozpławione w jego słońcu.

(c. d. n.) *Marya Grossek.*

Z przeszłości Rusi Czerwonej.

W kwietniowym numerze Ś w i a t a s ł o w i a ń s k i e g o dr. Koneczny, znany badacz spraw słowiańszczyzny, podnosi kwestyę pierwotnego zaludnienia Rusi Czerwonej i stwierdza, że mieszkańcami dzisiejszej Galicyi Wschodniej byli polacy. Rozróżnia on słowian zachodnich i wschodnich. Tych ostatnich oddzielały według niego od słowiańszczyzny południowej i zachodniej: szczep bałtycki (Łotewcy, Żmujdzini, Prusacy, Litwini, Jadźwingowie) oraz pustkowia, od których na zachód leżały Grody Czerwieńskie i łączyły się z polakami. Na ten kraj, etnograficznie czysto polski, pierwszą wyprawę ruską poprowadził Włodzimierz w związku z planami wariagów, którzy szukali nowej drogi do Carogrodu. Włodzimierz zamierzał w tym celu opanować trakt handlowy, idący ze słowiańszczyzny na przełęcz dukielską i Węgry. Ówczesny ustrój społeczny Rusi Czerwonej posiadał charakter całkiem polski; jak w Polsce przewodził tu żywioł rolniczy — ziemianie, kiedy w ziemiach ruskich przedewszystkiem znaczenie miały drużyny książęce i mieszczaństwo. „Aż do połowy XIII wieku były w księstwie halickiem wsie polskie a miasta ruskie". Na Rusi właściwej przewodziły miasta, na Rusi Czerwonej osady wiejskie — jak w Polsce.

Choć więc Grody Czerwieńskie podlegały Rurykowiczom, ustrój społeczny był tu zupełnie inny, niż w ziemiach ruskich. I tej różnicy, zwalczanej oczywiście przez wariagów, którzy tę ziemię opanowali, przypisuje dr. Koneczny, ciągłe spory i bunty bojarów z Rusi

Czerwonej i stałe ich ciążenie do Polski. „Rościsławicze — mówi on — byli książętami kupców a Piastowie rolników, ciążyła więc ludność księstwa halickiego ku Piastom, ku książętom, którzy stosowali się do ziemian“.

Czytamy w dalszych wywodach autora, że ludność księstwa halickiego, wygnawszy Daniela Rurykowicza, obwołała księciem swojaka, Władysława, przywódzcę bojarów; że bojarom, występującym przeciwko Mścisławowi przewodził Żelisław (znowu imię polskie); że Chełm był starą osadą polską, którą zajął Daniel i w r. 1223 umocnił grodem. Tenże Daniel ze względu na Mendoga litewskiego zmienił politykę w r. 1225 i oparł się na bojarach, katolikach i polakach.

Dopiero po najeździe mongolskim, jak twierdzi dr. Koneczny, dzisiejsza Galicya Wschodnia zaczyna być etnograficznie ruską.

NOWE KSIĄŻKI.

W. Jagniątkowski: W krainie bokserów, powieść, str. 370. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Jan Huskowski: Gesty, powieść współczesna, str. 215, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Kazimierz Gliński: Stare lwy, powieść str. 307, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Maciej Wierzbiński: Małżeństwo na próbę, powieść str. 248, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Marya Konopnicka: Jobsiada Epos komiczne dr. Karola Arnolda Kortume, str. 152, Warszawa 1913, Gebethner i Wolff.

Aleksander Dumas: Wilczyce, powieść, tom IV, Ciekawe powieści, Warszawa, Gebethner i Wolff.

B. Dański: Ubezpieczenie robotników, z dodatkiem pełnego tekstu praw o ubezpieczniach z dnia 6 lipca 1912 r. str. 65 Petersburg.

Wystawa wiosenna Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

Wystąpiła sama Warszawa, ta Warszawa, ani monumentalnie wzniosła, ani bardzo płytka, trochę banalna, nie trywialna, ani też bardzo subtelna i ciekawa, słowem — Warszawa...

A szkoda, że tylko sama! Bo gdyby tak sypnęli Kossak, Malczewski, Aksentowicz — z Krakowa, Fałat z Bystrej, Brandt z Monachium, no i przedewszystkiem — Chełmoński z pod Grodziska — słowem stara, ale jara gwardya sztuki polskiej — złamane byłyby szyki filistrów i gawiedzi, staliby w podziwie i krytycy, złośliwe pióra, pióropusze na dół opuściwszy.

A tak — ani jednego objawienia, ani jednego obrazu, przed którym by wyrwał się okrzyk, aaa!... z Sonetów krymskich.

Stoją przed nami zwarte ordynki płócien kolorowych, ani krzykliwe, ani mdłe, ani porywające, takie sobie przeważnie dokoracye, dobre do ubrania salonów kupca korzennego i nawet kamienicznika, tylko byle nie z rodu Medyceuszów.

Stanowczo, powinno być kilka Zachęt — jedna dla tych — Medyceuszów, Petroniuszów, druga dla Wokulskich i Połanieckich, jeszcze jedna dla subtelnych panków i półpanków i jeszcze jedna — dla szwaczek, telegrafistów i t. d.

Bo tak — to nieraz Petroniusze uciekają, Połanieccy żałują straty czasu i pieniędzy, a szwaczki nie mają czasu i pieniędzy...

Ta wiosena — to przeważnie dla takich sobie trochę subtelnych panków i półpanków.

Petroniusz dałby się jeszcze zatrzymać przed obrazami Straszkiewicza, w których natura przegląda się melancholijnie jak w lustrze bez pozy i kokieteryi, w nocy księżycowej smętna i otchłanna, w rozlewiskach wodnych spokojna i marząca. Stanąłby jeszcze Petroniusz przed wytwornym portretem L. Janowskiego, zatrzymałby się nieco może przed Biskem i Kowalewskim i szepnąłby Viniciuszowi: chodźmy prędzej, zasurowa, niedogotowana jeszcze potrawa. Ale... coby robił w Sali Ziomka?... Jak długo oglądałby te kilkadziesiąt obrazków i obrazów dużych parę? Tych obrazów sprzedanych, rozchwytanych momentalnie przez tych subtelnych panów, półpan-

ków... Zdaje się, że szepnąłby: — dzieło świetnego majstra, nie mistrza, choć może i mistrza, ale w przyszłości i zdaje się jednego z tych małych, czy mniejszych...

Istotnie, Ziomek zakrólował na Wystawie.

— Czy widziałeś pan Ziomka?—Zobacz pan Ziomka—Jeszcze nie idę, bo w pierw muszę zobaczyć Ziomka — to słowa zwiedzających „Wiosenną"...

Może dlatego taki tu tłok, że Ziomek jest taki pogodny! Istna sielanka! Ani śladu tej ponurej, czy rzewnej melancholii naszych pejzażystów. Ziomek czuje się szczęśliwym, wśród natury, jest jej tkliwym powiernikiem, czułym przyjacielem. Nie takim, jak Chełmoński, czy Stanisławski, mistrz Ziomka.

Tamci nie lubią kolorów, są szarzy, ale natura nie ma dla nich tajemnic. Otwiera im się do dna, do wnętrza... Ziomek ma trochę ludowy gust, kocha i lubi naturę jak zdrową, hożą, w wielobarwnych kaftanach wiejską krasawicę... Śmieją się oboje i gwarzą przy studni, obok chałupek garbatych, w saneczkach, na jaskrawym, świetlistym śniegu...

Śmieją się głośno, nie znają, czy nie chcą cichego półszeptu, półtonu, zatrzymania w ruchu...

Nie są przytem rubaszni... Są nad wyraz mili... Kto?..

A no, Ziomek i jego kochanka—Natura.

Kocha ją i sprzedaje, małemi kawałkami, parceluje...

Niech mu tam idzie... i płynie bronzowawe złotko, jak jego zachody słońca na polach...

Malarz bez złota i farb jest nie do pomyślenia.

A na innych obrazach jakże mało tych krótkich, tak wymownych znaków: zakupiony, sprzedany...

Winni są temu i sami malarze.

Dlaczego nie tworzą a tylko rysują, malują, komponują...

Ta pusta często gadanina farb i linii znudzi nawet niejednego filistra... Tłum będzie się zachwycać pomalowanym osłem na zielono, ale tylko parę dni, jak mówi bajka Gellerta. Potem tłum będzie się znowu nudził.

A krytyk tyle pomoże malarzowi, co krytyk z bajki tegoż Gellerta. Po wyjściu krytyka ganiącego malarzowi wydawał się obraz jego jeszcze piękniejszym...

Szczęśliwi!..

Stefan Prawdzic.

GŁOSY.

Zarówno w prasie polskiej, jak żydowsko-polskiej i żydowskiej toczy się dalej walka z jednej strony o nasz byt narodowy, z drugiej o prawo do zalewu i zaboru. Obrona zagrożonego i spotwarzonego społeczeństwa, która złączyła we wspólnym ruchu najsprzeczniejsze żywioły, nie przestaje się ścierać z bezczelnem zuchwalstwem lub z niezdolnością zrozumienia i odczucia tych przekonań i pragnień, które dla kosmopolitycznych gromad, oderwanych od gruntu historycznego, są zupełnie obce.

S ł o w o, długo sekundujące żydom, pisze piórem p. A. Chołoniewskiego:

W lat 200 po saskim rozkładzie, w lat 100 po nieudanej próbie dźwignięcia się z upadku, po pracach Komisyi Edukacyjnej, która miała z nas uczynić społeczeństwo nowoczesne, po obradach Sejmu czteroletniego, który miał przebudować naszą przestarzałą strukturę, jesteśmy pośród ludów Europy narodem-dziwolągiem, niedokształconym dziejowo, pozbawionym miast, pozbawionym trzeciego stanu!

Krążenie krwi w organizmie polskim nie może odbywać się prawidłowo. Nasz młody przemysł nie ma pośredników, narodowo zainteresowanych w jego istnieniu. Nasza cyrkulacya pieniężna nie ma dróg normalnych. Nasza twórczość kulturalna ma o tyle mniej konsumentów. Nasza praca oświatowa ma o tyle mniej szermierzy. Wszystkie funkcye nasze, muszą być słabsze, cały zbiorowy trud mniej skuteczny. Tak toczy się błędne koło polskiej bezsiły. Gdyby kończyło się chociaż na samem powstrzymaniu tempa naszego rozwoju, gdyby wynikające stąd straty gubiły się we własnym naszym rachunku! Ale wartości, których brak nas uboży, gromadzą się natomiast w organizmie innym, zrośniętym z nami, obcym. I organizm ten, zyskując coraz bardziej na objętości i sile dynamicznej, rozszczepia nas, niby klin, zagraża przyrodzonym formom naszego istnienia, godzi w bezsporny dotąd polski charakter dziedzictwa, okupionego tysiącletnim trudem narodu. Dopiero dziś widzimy z całą jasnością, jak straszliwie poczyna mścić się na nas potwornie wielka „przymieszka" trzech milionów żydów, obciążająca naszą szczupłą schedę. Dziś dopiero spostrzegliśmy z przerażeniem, iż — obok nas — drugi naród zamieszkał nad Wisłą!

W naszych dopiero czasach zalśniła błyskawica, która oświeciła bezdenną głębokość pomyłki, jakiej Polska ulegała w tej sprawie. Wbrew uczonym horoskopom, które zapowiadały na najbliższą dziejową metę porachunki żywiołów socyalnych, znamieniem naszego czasu stały się walki pod sztandarem indywidualności plemiennych, walki — narodowe. I one to dostarczyły probierza dla sprawdzenia złudy naszych rachub. Samowiedza narodów, której znaczenie tak przenikliwie ocenił już Napoleon III, wezbrała do nieznanych dotąd wyżyn, sięgnęła aż po za wyżyny normalne, doszła do wynurzeń nacyonalistycznych. Ten prąd powszechny wstrząsnął społeczeństwem żydowskiem na całym świecie, wstrząsnął i masą żydowską w Polsce. Żydzi poczuli się i zdeklarowali oddzielnym narodem. Zbudził się Juda Machabeusz i, policzywszy swe siły, pragnie pozostać

sobą. W całej pełni okazało się teraz, jak nie znaliśmy duszy tego ludu, który sześć wieków przeżył z nami pod jednym dachem. Okazało się, że ten rzekomy szczątek narodu jest w rzeczywistości czemś więcej, niż narodem, jest w tej dziedzinie zjawisk tworem wyższego rzędu, jest narodem — fenomenem, który może istnieć bez ziemi, bez języka, bez większych nawet skupień.

W r. 1911 czytaliśmy w pismach obcych oświadczenie żydów z Królestwa: „Oszustwem jest twierdzić, że istnieje jakaś Polska z jednolitym narodem: to kraj polsko-żydowski i takim musi na zawsze pozostać". Przyjął i głosi to hasło robotnik żydowski. Organ potężnej żydowskiej organizacyi robotniczej „Bund" z oburzeniem odparł rok temu, jakoby Królestwo było posiadłością narodu polskiego: to terytoryum, na którem żyją różne narody, a między nimi—Polacy! Słyszeliśmy wyzywające, urągliwe wyrazy: nie żydzi mieszkają u Polaków, lecz naodwrót. Judeo-Polonia!... Ta nazwa, którą pokolenie nasze po raz pierwszy usłyszało i która do głębi wstrząsa każdem włóknem naszej istoty, ta nazwa jest dziś jeszcze tylko odgłosem demagogii, ale jutro może się stać wykładnikiem pragnień i dążeń pozytywnych. Musimy pamiętać, że nie sami tylko żydzi są zainteresowani w przeistoczeniu kraju naszego w kraj mięszany, że znajdą oni, i znajdują już dziś, możnych współtwórców tej budowy przyszłości, mającej stać się, w myśl intencyj naszych przyjaciół ze wschodu i zachodu, najskuteczniejszym sposobem rozwiązania sprawy polskiej i usunięcia nas raz na zawsze z widowni dziejów. Przed laty kilkunastu odbita została w Berlinie „próbna mapa" Europy, na której mały wykrawek Królestwa figurował, jako „kraj polski, silnie zmięszany z żydami" (P o l e n, s t a r k m i t J u d e n v e r m e n g t), a w kraiku tym, sfederowanym z Rzeszą niemiecką, żargon byłby — jak opiewał komentarz do mapy — niezbędnym językiem publicznego urzędowania, zaś jedynym językiem urzędowym gmin o przewadze żydowskiej. Fantazya berlińska coraz szybciej dziś zyskuje grunt realny.

W innym numerze tenże publicysta mówi:

W sprawie żydowskiej przeżywa kraj nasz przeobrażenie historycznej doniosłości, które prof. Maryan Zdziechowski tak trafnie nazwał „żywiołowem poruszeniem duszy polskiej". Żyjemy w „chwili osobliwej". Ta chwila zbliżyła do siebie obozy i grupy różnoimienne, ta chwila sprawiła, iż na pewnej płaszczyźnie pojęć przysunęli się ku sobie katolicy i indyferentni, zachowawcy i zwolennicy celów i metod radykalnych, ta chwila dała nam zjawisko nieoczekiwane, iż lud warszawski, on, który tradycyjnie szedł zawsze za głosem Kołłątajów, Mochnackich i Chmieleńskich, woła dziś z głębi instynktu swego „potomków hetmamanów i wojewodów", by nie opuścili go w walce z wrogiem wewnętrznym. Cóż znaczy ta przemiana? Znaczy ona, że wielkie niebezpieczeństwo skupiło w solidarnej trosce cały naród i że po przez różnice ugrupowań partyjnych i ideowych nawiązują się jakieś wspólne nici, tak mocne, jak pragnienie nasze, by żyć własnem, plemiennem życiem. Zarysowuje się jedność ogólnej linii dążeń, chociaż musi się zarysować także rozbieżność w szczegółach i barwie ruchu, płynąca z odmienności psychiki politycznej, kultury, środowisk, temperamentów. Właśnie na odmienności tej oparła się deklaracya realistów, tak zresztą zbliżona w swej istotnej treści do stanowiska innych grup i stronnictw polskich.

Jak zaznaczyliśmy dawniej żydzi usilnie pracują nad zohydzeniem nas zagranicą.

K u r y e r W a r s z a w s k i przytacza z J e w i s h C h r o n i c l e następujące potwarze:

„W Warszawie polacy zabijają żydów bezkarnie na ulicy, w Częstochowie mordują dzieci nieletnie, przebijając je nożami, a rozpasanie tłumów jest tak wielkie, że poturbowano nawet polskiego kapłana za to, że śmiał odwodzić lud od bojkotu żydów".

„W Mławie, w gub. płockiej, powstały krwawe antisemickie rozruchy. Kilkaset polskich chuliganów napadło na bezbronną ludność żydowską i dopuszczało się gwałtów. Wielu starozakonnych odniosło w tych rozruchach ciężkie rany. Nie inaczej było w Raciążu. Polacy przygotowywali się do pogromów i już — już — mieli napaść i wymordować żydów, gdy wkroczyło wojsko i zapobiegło rzezi".

Zdarza się to rzesztą nie poraz pierwszy i nie tak daleko. Bliżej nas, bo w Petersburgu wychodząca gazeta D i e ń, opowiedziawszy tradycyę jakiejś zmyślonej Małki, której „zwierzęta nad Wisłą rozsypały pomarańcze", dodała takieo kropności:

Za Małką ujął się przechodzący przypadkowo żyd Broniglewski (?). To było już — prawdziwe mieszanie się do cudzej sprawy. To przechodziło wszelkie granice impertynencyi żydowskiej i jeden z bojkotujących strzelił do żyda i ciężko go zranił. Nazwisko patryoty—Leszczyński. Czy aby portret jego nie będzie wywieszony czasem w lokalu Zarządu T-wa Kultury Polskiej?

Fakt ten zdarzył się dnia 17 lutego w poniedziałek, zaś w sobotę niejakiś Lubicz uderzeniem noża w serce zabił 14-letniego chłopca Bibelkrota. Co do Małki — handlarki owocami, można powiedzieć jeszcze, że ona miała zamiar konkurować z polskim handlem i przemysłem. Dlaczego jednak zabito Bibelkrota — niewiadomo.

Notabene wszystko to jest skłamane przez Semo-Chamów.

P r a w d a tak kończy szereg artykułów w tej sprawie:

Streszczam: judaizm, jako formacya wyznaniowa, z całym swym aparatem zakazów i przepisów rytualnych, z których wykręcają się zresztą żydzi z właściwym sobie sprytem — urąga wprost nowoczesnym pojęciom religijnym;

— judaizm, jako świecka formacya polityczna, razi boleśnie najświętsze uczucie narodowe polskie, miłość ku ziemi ojczystej, zewsząd napastowanej a dzielonej napół, jak szmat sukna, w programie nacyonalistów żydowskich;

— judaizm, jako formacya społeczna, roszcząca sobie wyłączne prawo pośredniczenia w handlu i przemyśle, staje w poprzek ewolucyi gospodarczej swego otoczenia.

Ze wszech stron widziany jest judaizm czynnikiem ujemnym, który krzywdzi zarówno przynależną doń rzeszę jednostek, zamykając im dostęp do człowieczeństwa, jak i trapi otoczenie, zmuszone do bezpośredniej z nim styczności.

Ktokolwiek, świadomie czy nie, przykłada dłoń do tego, by judaizm utrwalić i wzmocnić — bierze na siebie ciężką winę wobec Polski i wobec ludzkości.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Pruski gwałt wywłaszczeniowy przyspieszył urzeczywistnienie myśli, którą żywił jeszcze i pragnął w czyn wcielić ks. Wawrzyniak — utworzenie Rady narodowej, która w Wielkopolsce byłaby najwyższym wodzem i kierownikiem często rozbieżnych i niejednolitych dążeń społeczeństwa. Na wielkim wiecu w Inowrocławiu w listopadzie 1912 r. postanowiono z ukonstytuowaniem Rady nie zwlekać. Obecnie jest to już fakt dokonany. Nowopowstała instytucya główny nacisk kłaść zamierza na sprawy gospodarcze i oświatowe, w tych kierunkach przedewszystkiem podnosić i wzmacniać życie narodowe, zaś w sprawach i zatargach stronniczych zajmować wyłącznie stanowiska rozjemcy, o ile strony na to się zgodzą: O rozwoju i energii działań Rady stanowić będą jej środki materyalne. Po wiecu inowrocławskim zebrano jednorazowo 60 tys. marek; jest to jednak drobiazg tylko wobec ogromnych potrzeb całego budżetu.

— Strajkujący na Górnym Śląsku górnicy postanowili na konferencyi delegatów w Katowicach powrócić do przerwanej pracy, gdyż większość kopalń przyrzekła jakoby poprawić warunki zarobkowe robotników. Gdyby jednak tego przyrzeczenia nie dotrzymano, walka na nowo podjętą zostanie. Pisma niemieckie natomiast twierdzą, że właściciele kopalń postanowili odrzucić wszystkie żądania górników. Ci ostatni wyjeżdżają licznie do kopalń francuskich.

— Krakowska izba handlowa usunęła język niemiecki ze swych korespondencyj z ministeryami wiedeńskiemi, a wprowadziła polski.

— W Krakowie odbył się zjazd kobiet polskich, na którym powzięto następującą rezolucyę: Zgromadzone na pierwszym zjeździe kobiety polki ze wszystkich stron ojczyzny zobowiązują się uroczyście: że dzieci swe od pierwszych chwil życia chować będą w zasadach wiary katolickiej i w duchu narodowym, bez wpływów cudzoziemskich; że zawsze i wszędzie stale i trwale szerzyć będą oraz wykonywać hasło: „Swój do swego po swoje“ a pamiętać o wskazaniach chwili obecnej.

— Petersburski Dień zamieścił zebrane przez dr. Nikolskiego z całego państwa dane, dotyczące stanu zdrowia ludności w ciągu ostatnich lat 3. Stan ten pogorszył się. Gdy śmiertelność np. w Danii wynosi 13 na 1000, w Szwecyi i Anglii — 14 we Francyi — 18, w Rosyi dochodzi ona do 30. Na choroby zakaźne zmarło w ostatnim roku 508,262 osoby; 54,500 na ospę, 82,000 na odrę, 134,000 na szkarlatynę, 90,000 na dyfteryt. Śmiertelność dzieci największa jest w Moskwie — 296 na 1000 urodzeń, w Petersburgu 261, w Warszawie 176. Tymczasem w Amsterdamie na 1000 urodzeń umiera tylko 77.

— W gub. Płockiej w pięciu gminach powoli zostaje wprowadzone nauczanie powszechne. Za przykładem Grudusk, Mąkolni i Zągoty poszły Lelice i Majki. Lelice, obszaru 9295 morgów, posiadają 3611 mieszkańców, w tem 324 dzieci w wieku szkolnym; do dwóch istniejących szkół postanowiły dodać 6 nowych, co roczne wydatki na oświatę podniesie z 404 rb. do 1200. W Majkach, liczących 13,523 morgi i 3870 mieszkańców, opłacających dotychczas 401 rb. podatku rocznego na utrzymanie 2 szkół, powstać jeszcze ma 7, na które uchwalono składać 1400 rb. rocznie, po 7.3 k. z morga. Piękny ten przykład zachęci niewątpliwie inne gminy do naśladowania tamtych pięciu.

— W Tarnopolu, w Galicyi otwarto „Muzeum podolskie“. Założone staraniem Tow. Szkoły ludowej, mieści się ono w własnym gmachu, w czterech salach, zawierających wykopaliska przedhistoryczne, broń, porcelanę, ceramikę, monety, medale, ryciny, mapy, druki, dokumenty i t. p. W gromadzeniu zbiorów kierowano się myślą, ażeby one odtwarzały przeszłość i teraźniejszość terytoryum podolskiego z jego właściwościami i charakterem.

— Przemysłowo-handlowe Tow. akcyjne „Ł. J. Borkowski“ przeznaczyło z zysków swoich w r. 1911 rb. 500 na Kursy przemysłowo-rolnicze w Warszawie, rb. 500 na szkoły polskie Stowarzyszenia Techników, rb. 300 na wyższe Kursy handlowe, rb. 200 na szkoły Tow. Kupców polskich i rb. 200 na Gniazda sieroce.

— Ogólna liczba dóbr, obciążonych pożyczkami Tow. Kred. Ziem. wynosiła po 14 listopada r. zesz. 9,578, czyli w porównaniu z rokiem poprzednim ilość jednostek gospodarczych powiększyła się o 43 a suma pożyczek zahipotekowanych podniosła się do 192,227,950 rb., o 4,569,600 rb. więcej niż poprzednio.

— Podług obliczeń Przeg. Kupieckiego na 2 i pół miliona ludności miejskiej w Królestwie polskiem tylko 1,200,000 jest pochodzenia polskiego, a więc zaledwie 40% ogółu. W 116 miastach Królestwa znajduje się 62,280 właścicieli nieruchomości, w tem 24,675 polaków, czyli około 35%. Warszawa np., bez Pragi, na 4,542 posesye liczy tylko 2452 polskich. W Łodzi na 4155 w ręku polaków znajduje się 1,638 nieruchomości. W innych miastach stosunek jest jeszcze gorszy.

— „Straż“ poznańska, która zdawała się już zamierać, ocknęła się obecnie do energiczniejszego życia. Jej biuro stało się ogniskiem informacyjnem dla wszelkich zrzeszeń i zbiorowisk w kraju oraz dla towarzystw filialnych po za jego granicami. Te ostatnie istnieją obecnie tylko w Westfalii i jest ich tu blizko 20. Towarzystwo posiada swój organ, ukazujący się miesięcznie w 5000 egzemplarzy. Jego wydział kulturalny zajmował się: urządzaniem obchodów narodowych Kraszewskiego, Skargi, zaś obecnie przygotowywa uczczenie pomięci ks. Józefa Poniatowskiego; organizowaniem wycieczek kresowych w celu zaznajomienia się z krajem i jego potrzebami. W ostatnich dwóch latach dochód narodowy 3 maja przyniósł 10,000 marek, za które w kilku miejscowościach na Kaszubach powstać mają sale lub mniejsze „domy polskie“. Prócz tego ogłoszono konkurs na popularną historyę ziemi kaszubskiej. W walce z germanizacyą wydano odezwy i rozesłano listy do kupców o przyznanie językowi polskiemu stosownych praw na godłach i wewnątrz składów; drukują się tablice z niemieckiemi i polskiemi nazwami przedmiotów i narzędzi, używanych w rzemiosłach, popularny słowniczek botaniczny niemiecko-polski, przygotowuje się założenie Towarzystwa krajoznawczego i t. p.

— Ostatnie sprawozdanie Biblioteki publicznej świadczy o słabem zainteresowaniu się ogółu sprawami tej instytucyi. Składki członków rzeczywistych i jednorazowe dożywotnich za rok 1912 dały tylko 3940 rb. Powolnie wzrastająca liczba członków podniosła się w tym samym czasie z 652 do 672. Darów w pieniądzach wpłynęło na sumę 2876 rb., w dziełach — 15,271. Ogólna liczba tomów, posiadanych przez Bibliotekę, wynosiła z końcem roku zeszłego 87,243. W czytelni Biblioteki znajdowało się 174 czasopism literackich i naukowych: 90 polskich 42 niemieckich, 23 francuskich, 9 rosyjskich, 4 czeskich, 4 angielskich, po 2 włoskich i esperanckich. W ciągu roku zgłosiło się po książki 5603 osoby, czytało na miejscu 23,874.

— Krakowska Akademia Umiejętności ogłasza w dalszym ciągu konkurs na „Historyę Galicyi w okresie od 1848 — 1908“. Prócz powyższego konkurs im. Lindego na prace z zakresu języka polskiego: gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej oraz rozprawy, dotyczące związku języka polskiego z innymi słowiańskimi i mogące być dopełnieniem słownika Lindego. Dwa konkursy z fundacyi dr. Michała Zieleniewskiego: jeden na uzupełnienie „Słownika bibliograficzno-balneologicznego polskich zakładów zdrojowo-kąpielowych“; drugi — na pracę, poświęconą ściśle naukowemu badaniu i opisowi rodzimych wód mineralnych polskich, nie oddzielnych źródeł, lecz całych działów wód lekarskich i ich działania leczniczego.

Po za tem Akademia przedłuża terminy konkursów: im. generała O. Augustynowicza na 1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce piastowskiej, 2) dzieje ludności na Litwie i Rusi, 3) dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach dawnej Rzplitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego, 4) dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, 5) dzieje zniesienia tejże zależności w krajach, przyłączonych do Cesarstwa Austryackiego. Konkurs im. Niemcewicza na: 1) Historyę ustroju Królestwa kongresowego (1815 — 1830), 2) Historyę obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w XVI i na początku XVII w. w obrębie danego terytoryum, 3) Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce do

Unii lubelskiej. Konkurs z fundacyi ks. Ad. Jakubowskiego na: „Historyę ustroju Księstwa Warszawskiego" i „Monografię jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej". Konkurs im. Czerwińskiego na „Historyę sztuki w Polsce". Konkurs im. J. Majera na temat: „Stosunki mineralogiczno-geograficzne północnego trzonu Tatr".

— Ruch oświatowy i społeczny dotarł też i do kurpiów — jak świadczy o tem Zorza. Współdzielczość, zapoczątkowana w Łomży około 1906 r., ogarnęła już całą Puszczę. Istnieją spółki i sklepy spożywcze w Myszynie, Kadzidle, Baranowie i wielu innych miejscowościach; szachownicę usuwają, kolonizując się masowo. Praca kulturalna rozwija się bardzo pomyślnie w pow. ostrołęckim, mnożą się kasy pożyczkowo-oszczędnościowe i drobnego kredytu, z dochodów z nich wysyłani są co rok chłopcy i dziewczęta do szkół rolniczych w kraju i zagranicę, powstają kółka rolnicze, mleczarnie, kółka kobiece, spółki budowlane, straże ogniowe, orkierstry. Po wsiach rozwija się koronkarstwo a w Łątczynie pracuje 16 ulepszonych warsztatów tkackich.

— Tow. Gniazd Sierocych, zawiązane zaledwie w 1911 r., posiada obecnie 5 gniazd, w których przebywa 41 dzieci. Mieszczą się one w Tursku, Koziarówce, Baniosze, Puczycach i Wandzie w Sochaczewskiem. Z tak krótkiego okresu istnienia niepodobna oczywiście wydobyć wyczerpujących wszelkie wątpliwości dowodów co do zadawalających wyników działania i wpływów tej pięknie pomyślanej instytucyi.

DARY

Na szkołę rolną dla synów włościańskich w Bratnem.

Z Red. „Prawdy". — 32 rb. 10 kop.
Bank Handlowy rb. 800.
Dyr. W. Sawicki rb. 200.
Stanisław Sikorski rb. 33.
T. Gordziałkowska rb. 50.
Dr. Ka rb. 50.
J. i M. Zaborowskie rb. 25.
Jadwiga Sikorska rb. 50.
Włodzimierz Grabowski rb. 3.
Władysław Żydejko rb. 3.
Karolina Kowalewska rb. 4.
H. P. rb. 10
Antoni Chojnacki rb. 5.
Od nauczycieli i nauczycielek Szkoły Żbikowskiej rb. 40 kop. 15.
Władysławowstwo Frąckiewiczowie rb. 8.
Szopka rb. 90.
Kinema rb. 131.
Anna Zawadzka z Tomaszowa Lub. w rocznicę zgonu ukochanej siostry ś. p. Zofii z Lewickich Gillewiczowej zamiast kwiatów rb. 5.
Stanisław Pfeiffer rb. 25.

WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k.

Numer pojedyńczy 30 kop.

Administracya: Warszawa Krucza 9, telefonu 51-26.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.